EPOKA

TYGODNIK

ROK II — Warszawa, 19 Listopada 1933 R. — NR. 47 (60)

Na zwrotnicy dziejów

Potęga skały

Cele więzienia

Życie i „biegli“

Na drodze zasług

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr. Film.

AUTORZY: Lukrec. Waśniewski. Krahelska. Czarnowski. Orosius. Szpecht. Oborski. Reisler. Gadomska.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SZCZĘŚLIWY EGZAMIN

W piśmie *Rycerz Niepokalanej* student uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie dziękuje za łaskę zdanego bez przygotowania egzaminu:

...„Aż oto zaszedł jeden wypadek, który mnie niezbicie przekonał, że doznałem opieki Niepokalanej. W obecnym roku szkolnym starałem się o przyjęcie na Uniwersytet; szanse miałem bardzo małe, prawie, że żadnych nie miałem widoków przyjęcia, ale udawszy się do Matki Najśw. o pomoc, zostałem najwidoczniej wysłuchany i wsparty Jej pomocą. Zostałem przyjęty wbrew wszelkim oczekiwaniom. Do egzaminu wstępnego (na wydział lekarski składa się egzamin wstępny z powodu wielkiej liczby kandydatów) byłem zupełnie nieprzytomny, a jedynem mojem przygotowaniem, było odmówienie „Zdrowaś Marjo..." i westchnienie do Jej litościwego Serca. Nie zawiodłem się; egzamin zdałem.

„Dalej prosiłem Matkę Najśw. o pomoc i szczęśliwe zagospodarowanie się w obcem dla mnie mieście i o środki utrzymania w nowym ośrodku życia. Wszystko to poszło mi zupełnie gładko i dobrze; czuję, że to tylko Matce Najśw. zawdzięczać muszę. Przyrzekłem Niepokalanej, że odwdzięczę się Jej, choć w tak małej i znikomej części za Jej pomoc i opiekę, ogłaszając o tych łaskach w Jej „Rycerzu". Dlatego, wywiązując się z przyrzeczenia, proszę o łaskawe umieszczenie powyższego podziękowania i równocześnie przepraszam Niepokalaną, że pozwoliłem tak długo czekać na publiczne podziękowanie Jej za liczne łaski."

P. M., stud. Uniw. Jana Kazim. we Lwowie.

ARGENTYNA BEZ PRACY

Do niedawna Argentyna była bogatym krajem. W szybkiem tempie jej liczne osady i miasteczka rozwijały się w wielkie miasta. Dziś — nastąpiła katastrofalna zmiana. Wspaniała stolica argentyńska otoczona jest dziś przedmieściami wygłodzonych bezrobotnych.

Na terenach, wydartych rzece Rio de Plata dla poszerzenia portu Buenos Ayres, wyrosło miasto nędzy. Na ulicach, tworzących regularną sieć, bezrobotni zbudowali baraki, zużywając jako ścian i dachów starych desek i blachy, zebranej żebraniną. W ciągu kilku miesięcy urosło osiedle, liczące 15 tysięcy mieszkańców. Wybrano nawet władze, które sprawują w barakach funkcje policyjne i sądowe. Możnaby sądzić, że jesteśmy świadkami organizowania się pierwotnego plemienia, dokonawszy skoku w przeszłość na tysiące lat wstecz. Oczywiście, brak pieniędzy dotkliwiej dokucza tym nieszczęśliwym, niż ich pierwotnym przodkom.

Dwustu zpośród nich urządziło już głodowy marsz na stolicę. Głód wygnał ich ze schronisk ku miastu, głuchemu wobec ich tragedji. Lecz policja rozproszyła ich szybko przy pomocy maszynowych karabinów.

Argentyna liczy 334 tysięcy bezrobotnych — w tem 225 tys. Argentyczyków, a resztę—cudzoziemców: 42 tys. Włochów, 29 tys. Hiszpanów, 10 tys. Polaków oraz mniejsze liczby Rosjan, Czechów i Niemców. Największego kontyngentu bezrobotnych dostarczają rolnictwo i hodowla. Cudzoziemcy zwracają się do swych konsulatów z prośbą o repatrjację. W izbie argentyńskiej powstał projekt przeznaczenia części funduszu bezrobocia na wysiedlenie obcokrajowców do krajów pochodzenia. Zaniechano projektu wobec zdecydowanego oporu Italji, która odmówiła przyjęcia swych 40 tysięcy obywateli.

KAMIENNE SERCA

Dwutygodnik p. n. *Człowiek w Polsce* pisze:

„Od szeregu tygodni cała prasa warszawska zwróciła specjalną uwagę na położenie bezrobotnych. W pismach wszystkich kierunków politycznych cytowano fakty, naprawdę krew w żyłach mrożące. Nawoływano do wytężonej akcji społecznej...

I oto skutki. Kiedy Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej w dniach 14 i 15 ub. m. odwołał się do ofiarności publicznej — dwa dni zbiórki we wszystkich restauracjach i kawiarniach stolicy dały — trzy tysiące złotych. Trudno określić te wyniki inaczej jak hańbę.

Komitet nie oddawał zbiórki w ręce płatnych przedsiębiorstw. Bilety wstępu do lokalów sprzedawały osoby ofiarnie, bezinteresownie. Ani jeden grosz zebrany nie poszedł na wynagrodzenie „straconego czasu". Wszystko wpłynęło do kasy Komitetu. Komitet zbierał nie na ulicy, po której chodzą ludzie nieraz bez złamanego szeląga w kieszeni. Zbiórka była w restauracjach, gdzie przychodzą „goście" aby coś spożyć, aby zapłacić. Tu ofiara jest możliwa. Jeden kieliszek wódki mniej — jedno ciastko mniej — drobna ofiara ze swego zbytkownego spożycia już daje sumę i to sumę znaczną. Otóż na tę drobną ofiarę ze zbytkownej konsumpcji Warszawa się nie zdobyła.

Blagą jest twierdzenie, że zbiórki już się wszystkim przejadły. Istotnie były czasy, kiedy zbiórki urządzano co niedziela, co święto, kiedy wszędzie i zawsze na coś zbierano, wszędzie oblegały człowieka kupy zawodowców, trudniących się wyłącznie organizowaniem kwest wszelkiego rodzaju. Dziś to zostało ukrócone.

To brak uspołecznienia — i więcej nic. To sobkostwo, ohydne sobkostwo, ustrajające się w jakieś „zasadnicze" względy, ile razy chodzi o ofiarę, o jakieś poświęcenie.

Czasem to przebierało rozmiary istnego skandalu. Wystrojone, wyszminkowane paniusie pozwalały sobie na idjotyczne przycinki pod adresem zbierających. Eleganccy panowie z oburzeniem opowiadali o terorze, o wymuszaniu — o żebraninie. Im mniej kto był uspołeczniony — tem więcej społecznych względów znajdował dla napaści na ofiarność".

DRAKOŃSKIE OGRANICZENIA

Budapeszteńskie pismo *Az Est* donosi z Berlina:

„Zatwierdzone przez rząd niemiecki „Żydowskie Zjednoczenie Kulturalne" rozpoczęło sezon teatralny wystawieniem sztuki Lessinga „Mędrzec Natan". Rząd hitlerowski, zezwalając na artystyczną działalność „Zjednoczenia" zastosował jednocześnie szereg drakońskich środków i zastrzeżeń. „Zjednoczenie" nie może korzystać z żadnej pomocy prasy, ogłoszeń ani afiszów.

„Jedynie członkowie mogą być obecni na przedstawieniach. „Berliner Theater", w którym się odbywają, nie może nadsyłać do prasy żadnych komunikatów, ani zapraszać krytyków. Zakazano też dziennikom wszelkich wzmianek o przedstawieniach żydowskiego teatru.

„Mimo tych surowych ograniczeń, sala teatru jest codziennie przepełniona. Powodzenie przedstawień przeszło wszelkie oczekiwania. Władze niemieckie wydały tedy nowe zakazy. Zabroniono publiczności nosić w tym teatrze smokingi i wieczorowe suknie. Zakazano samochodom postoju przed gmachem teatru, który jest—z nakazu władz—zewnątrz nieoświetlony, by nie przyciągać uwagi przechodniów...".

OSOBOWOŚĆ TWÓRCZA

W piśmie rzymskiem *Italia Letteraria* ukazał się artykuł *Luigi Pirandella* o „samodzielności i osobowości — jako czynnikach twórczych":

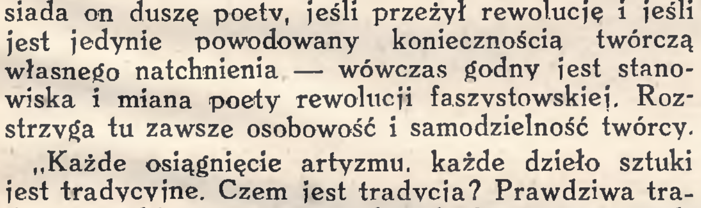
„Czy możliwe jest istnienie sztuki, która nie wywodziłaby się ze swej epoki? Nie. Wszelkie poglądy i stanowiska, jakie zajmuję i wyrażam, noszą piętno czasu, w jakim żyję. Czyż mogłoby być inaczej? Oddycham powietrzem danej epoki, rozwijam się w jej środowisku, jestem kształtowany przez zwyczaje, obyczaje, zdarzenia i przemiany socjalne. A wraz ze mną ulega tym wpływom — moja twórczość.

„Zespół mych doświadczeń i wrażeń nie może pozostać bez wpływu na moje utwory. Lecz wpływ ten nie jest bezpośredni — rzekłbym — jest niemal nieświadomy. Na wszystko jest miejsce w sztuce. Wszystko posiada prawo obywatelstwa wobec sztuki. Lecz nie trzeba umyślnie go wyzyskiwać.

„Poeta może opiewać rewolucję faszystowską. Jeśli zmierzać będzie do rozwinięcia pewnej tezy, uzasadnienia pewnego programu — wówczas nie wzniesie się do poziomu twórczego. Przeciwnie, jeśli posiada on duszę poety, jeśli przeżył rewolucję i jeśli jest jedynie powodowany koniecznością twórczą własnego natchnienia — wówczas godny jest stanowiska i miana poety rewolucji faszystowskiej. Rozstrzyga tu zawsze osobowość i samodzielność twórcy.

„Każde osiągnięcie artyzmu, każde dzieło sztuki jest tradycyjne. Czem jest tradycja? Prawdziwa tradycja sztuki — to suma indywidualnych i oryginalnych osiągnięć i zdobyczy. Petrarki nie można sprowadzać do Dantego, a Manzoni'ego — do Leopardiego. Każda pojawiająca się nowa fizjognomja literacka spotyka się z nieufnością. Brak dla niej porównań, terminów, analogji. Najczęściej też oryginalni twórcy mają najcięższy żywot, aż do chwili ujarzmienia przez ich talent publiczności. Zwycięstwo to nie jest łatwe ani pewne.

„Dla twórcy, który chce przedewszystkiem być sobą, przyszłość ani przeszłość nie odgrywają znaczniejszej roli... Studja powinny wyostrzyć jego sposoby ekspresji i wzbogacić indywidualność. Gdyż najważniejszym elementem twórczym jest — powtarzam — osobowość i samodzielność".



SYGNAŁY NA ZWROTNICY DZIEJÓW

Już Wacław Nałkowski uważał skandale dziejowe za czynniki postępu i za bodźce w dziedzinie wyzwalania nowego życia. Dziś w świetle skandalów widoczne są zmiany nietylko natury gospodarczej i społecznej, ale i moralnej; w naszych oczach zmieniają się też wierzenia, będące odbiciem praktyki życiowej. Takie np. głośne skandale, jak niszczenie żywności pod bokiem głodnych helotów i niewolników kapitału — w istocie swojej stanowią akty rewolucyjne wobec ducha epoki, której zmysł naturalny nakazuje przedewszystkiem gromadzić bogactwa, strzec posiadanych skarbów i spieniężać towary w celach zysku. Sens rewolucyjny tych aktów tkwi w niszczeniu własną ręką własnych bogactw. Kapitał ratuje się od uduszenia jak magnat, rozrąbujący siekierą pałacowe podwoje dla dostępu świeżego powietrza. Kapitalizmowi brak tchu od chwili naruszenia równowagi, zakłócenia normalnego biegu wytwórczości i obrotu towarowego. Rośnie więc nagła potrzeba nadzwyczajnych sposobów i środków dla podtrzymania tętna zamierającego życia, co jaskrawo występuje dziś na drugiej półkuli, zamienionej w wielką salę operacyjną. Nieznane dotychczas zabiegi Roosevelta np., mające również znaczenie skandalów dziejowych, świadczą o dalszych zmianach rewolucyjnych w samym rdzeniu ustroju i stanowią jednocześnie jawne, dowodowe zaprzeczenie normalnego działania mechanizmu zbytu i wytwórczości w gospodarce prywatnej, świadczą o jej śmiertelnem znużeniu i wyczerpaniu. Nagromadzone zwały towarów wskutek kurczącego się wciąż spożycia są balastem, który idzie na dno oceanów, jak balast, wyrzucany przez aeronautów w celu ratowania statku od natychmiastowej katastrofy.

Proces rozkładu ustroju posuwa się tak szybko, że przysłowiowy, przez wieki wykształcony zmysł handlowy i zdolności przewidywania kupieckiego zawodzą już niezmiennie i w coraz większym zakresie. Nawet wczorajsi arcymistrze pomnażania bogactw, dzisiejsi zaś koryfeusze tragedji dziejowej zdradzają wobec zawrotnego biegu wypadków brak niezbędnego kontenansu i przenikliwości. Jeden z największych ulubieńców nowożytnych bogów, który wyrósł szybko pod ołtarzem złotego cielca, Henryk Ford, jeszcze w marcu 1931 r. obwieścił światu z emfazą, że „pracy wcale nie brak dla tych, którzy chcą pracować", a potem zaledwie po upływie miesiąca ograniczył wytwórczość do trzech dni w tygodniu, ale tylko poto, żeby w sierpniu tegoż roku zamknąć niemal zupełnie swoje fabryki i wyrzucić na bruk kilkadziesiąt tysięcy robotników. W tej chwili zaś cały świat amerykański ze swoimi 15 miljonami bezrobotnych, ze swoim praktycznym sposobem myślenia, z osławionym swoim pragmatyzmem, z całą swoją filozofją życiową, która nie pytała dotychczas, co człowiek myśli, tylko co czyni, z całym swoim utylitaryzmem, który patronował głównie maszynie, upojony jej rozpędem i wydajnością — przechodzi już proces zakażenia krwi, obejmujący po kolei wszystkie funkcje i poddający śmiertelnym wstrząsom cały organizm kapitalistyczny.

Vico, który był tak dumny z wiecznego światła prawdy, objawiającej mu się w tem, że świat społeczny *jest dziełem* człowieka, dziś zapewne, gdyby żył w naszej epoce — mniej szczyciłby się tem właś-

nie dziełem ludzkiem i pragnąłby, jak i my zmian i przebudowy tego świata. Ludzkość spragniona jest nietylko nowego układu społecznych i gospodarczych stosunków, ale i nowego światła prawdy, nowych poglądów na świat, nowych, świeżych porywów ducha i nowej filozofji. Liczni myśliciele, niezwiązani duchowem powinowactwem ze światem złotego cielca, z jego konwencjonalnemi i bezpłodnemi już teorjami, mają wyraźną świadomość, że wielkie przemiany dzisiejsze stanowią już właściwą istotę przewrotu, że mnożą się szczeble procesu rewolucji, rozwijającej się w podglebiu życia. Nawet ze stanowiska ekonomji i psychologji kapitalistycznej takie zjawiska, jak np. zakazy, zmierzające do ograniczenia wytwórczości, zakazy, poparte siłą zbrojną — wydobywania ropy, rozszerzania różnych plantacyj i t. d. stanowią rewolucyjne zaprzeczenie ducha kapitalizmu, którego naturalne i przyrodzone popędy zmierzają do rozrostu wytwórczości i do korzystania zawsze pod każdą szerokością geograficzną z żywego ludzkiego i martwego bogactwa.

Bertrand Russell, zastanawiając się nad zagadnieniami przebudowy cywilizowanego świata, powiada wyraźnie, że jeżeli ten wogóle ma być uratowany, to na to potrzebny jest nowy ustrój gospodarczy i nowy pogląd na świat. Ci z pośród nas, którzy odczuwają konieczność przemiany, nie powinni — mówi Russell — siedzieć z założonemi rękami i pogrążać się w bierności i zniechęceniu: „Możemy bowiem, jeśli zechcemy, wywrzeć głęboki wpływ na kształtowanie się przyszłości". Russell uważa obecny ustrój industrjalny, poza niewolnictwem, za najbardziej niszczycielski, jaki kiedykolwiek istniał. Russell, nie zadowalając się krytycznym i negatywnym stosunkiem do świata dzisiejszego, usiłuje pochwycić rytm i kierunek zachodzących przemian, z których wyłonić się ma przyszłość. Widzi on ją w postaci federacji rządzonych demokratycznie gałęzi wytwórczości, które zdołają utrzymać jej masową i zmechanizowaną istotę.

Mikołaj Berdjajew, przeciwnik materjalizmu i radykalizmu społecznego, płomienny wyznawca czystego chrystjanizmu, — stoi na stanowisku, że epoka kapitalistyczna dogasa. Odrodzenia wiary religijnej spodziewa się dopiero w ustroju przyszłym i podobnie, jak Bertrand Russell wyobraża go sobie w postaci panowania związków wytwórczych i spółdzielczych.

Wszystkich zwolenników gruntownej przemiany, niezależnie od ich stanowisk ideowych i myślowych— cechuje chęć wyzwolenia człowieka z niewoli ekonomicznej. Pod działaniem wstrząsających zdarzeń dzisiejszego życia i w obliczu detronizacji uświęconych bogów własności i złota, którym co dnia niemal ogłasza się bankructwo władzy, wpływów, ideologji wraz z jednoczesnem ogłaszaniem upadłości majątkowej — rośnie powszechnie poczucie siły, nakaz świadomej woli wzięcia udziału w światowej pracy myśli nad zagadnieniami niedalekiej przyszłości. A jeszcze tak niedawno dusza społeczeństw kapitalistycznych przepojona była wyłącznie kultem pieniądza i treścią handlową. Pragnienie posiadania bogactw stanowiło główny motyw działania ludzkiego i jednocześnie było przyczyną głębokiej demoralizacji społecznej, oraz poniżenia wartości życia duchowego. Racjonalistyczne myślenie handlowe, suche, trzeźwe, wyrachowane kładło swoje piętno nietylko na urządzeniach i metodach współżycia, ale i na wychowaniu, na duchowem obliczu młodzieży, zwłaszcza plutokratycznej, wolnej naogół od porywów idealnych, wzniosłości, twórczego natchnienia, a pochłoniętej jedynie drogą karjery i bogacenia się.

Pragmatyzm teoretyczny i utylitaryzm życiowy stworzyły klasyczny typ „człowieka interesu", który według obowiązujących probierzy moralnych miał być tyle wart, ile posiadał pieniędzy. Świątynie nauki przystosowywały się do wymagań środowiska, stopnie i tytuły naukowe służyć miały przeważnie tylko za klucze do kas, za odskocznie do „dobrych" stanowisk, za zapowiedź „dobrych partyj" małżeńskich. Szła młodzież plutokratyczna do przybytków wiedzy nie w imię nauki, zgodnie z powołaniem i idealnym motywem, nie w imię służby społecznej, lecz z psychicznego, wpojonego nastawienia na perspektywy błyszczącej karjery. Ten kult pieniądza i sugestywne działanie myślenia handlowego wytworzyły z czasem cały system tyranji nowożytnej, poddając finansowej reglamentacji życie duchowe ludzkości. Poczucie piękna przystosowane było do wymagań i smaku publiczności, mającej pieniądze, zaś dzieła natchnienia i wytwory kultury estetycznej uległy, jak zwykłe towary prawu kupna — sprzedaży i spekulacji. Kapitał tylko swoją wykalkulowaną i oprocentowaną kulturę estetyczną wyprowadzał na wrzaskliwe targowisko pychy, próżności, snobizmu, a rozbijając kramy z przedmiotami piękna zachwalał je jako wytwory ducha, bezpośrednio sprowadzone z wyżyn Parnasu lub Akropolu.

Ale dziś już, w miarę opadania hypnozy myślenia handlowego ulega zaprzeczeniu uświęcony dotychczas moralny i materjalny porządek rzeczy. Teoretyczne dotąd zagadnienie niewoli ekonomicznej człowieka schodzi w świetle błyskawic skandalów i paradoksów dziejowych z wyżyn abstrakcyj na grunt rzeczywistości codziennej. To, co jeszcze niedawno trwało w świadomości olbrzymiego odłamu społeczeństwa, jako naturalny, niejako przyrodzony porządek rzeczy, dziś występuje jako naglące zagadnienie zmiany, przełomu, bytu, jako nakaz obrażonego sumienia i żądanie cierpiących. Wstrząsy gospodarcze, skandale dziejowe, odsłaniają rolę przemocy kapitału i grozę poniżającej zależności życiowej miljonów cierpiących i krzywdzonych od garści nababów finansowych, od kilkudziesięciu cezarów — autokratów, sprawujących w świecie swoją nieurzędową władzę z wysokości swych skarbców bankowych. Ta forma nowożytnego niewolnictwa, uświęcona poza zwyczajem, moralną tresurą, również przez „humanitarne" prawodawstwo, — maskuje istotną treść poniżenia człowieka i związanego z tem codziennego łupiestwa.

Dumna cywilizacja współczesna, która nie przestawała do wybuchu faszyzmu i hitleryzmu, szczycić się blaskami swego wzniosłego humanitaryzmu, spoglądała wyniośle ze stanowiska dziejów, przypisując sobie prawem kaduka wyższość moralną wobec patrycjuszów rzymskich, i otaczając wzgardliwą pamięcią barbarzyństwo feodałów, garbujących skórę pańszczyźnianych chłopów, oplatając swe czoło wawrzynem zasługi, po zniesieniu handlu niewolnikami, ale wstydliwie przemilczając współczesną hańbę niewolnictwa, kanibalskiej moralności i drakońskiego prawodawstwa socjalnego, które zezwala legalnie pozbawiać bytu, odbierać pracę na mocy krótkoterminowego jej wymówienia.

Za lat kilkanaście, czy kilkadziesiąt ta dzisiejsza życiowa zależność setek miljonów ludzi fizycznej

i umysłowej pracy od posiadaczy pieniędzy wydawać się będzie równie poniżającą i hańbiącą, jak niewolnictwo greckie, rzymskie, czy jarzmo pańszczyźniane chłopów, a nababowie współcześni przejdą do historji pod rękę z handlarzami niewolników. Ze stanowiska przyszłej cywilizacji dzisiejszy przymus brania w niewolę przez władców mamony przedstawicieli intelektu i ducha będzie równie wstrząsającym faktem, jakim jest sprzedaż np. Platona w niewolę wrogiego plemienia.

W miarę rozsypywania się wierzeń obowiązujących, wyobrażeń o wartości i celach życia, objętych jeszcze dziś wspólną złoconą obrożą utylitaryzmu, w miarę ustępowania sugestji myślenia handlowego, pod której urokiem pozostawał nawet świat umysłowej pracy — pogłębiać się będzie życie duchowe, naróśnie świadomość, że warunki dla przebudowy świata nie spoczywają wcale za granicą świata pozaludzkiego, pozazmysłowego, lecz koło nas, w najbliższej życiowej obecności. Zagadnienie przyszłości przestaje się sprowadzać do poszukiwań kamienia filozoficznego w rojeniach marzycieli, lecz staje się już sprawą bytu, formą rzeczywistości, wymagającą także i od nas trudu myśli i duchowego wkładu.

Henryk Lukrec

POTĘGA SKAŁY

Istnieje następująca rosyjska anegdotka. Było dwóch przyjaciół. Jeden z nich powrócił z ogrodu zoologicznego i pełen entuzjazmu opowiada, co tam widział. Opisuje drobiazgowo koliberki, robaczki, przeróżne owady, lilipucie żabki i t. p.

— A słonia widziałeś? — przerywa drugi.

Entuzjasta marszczy czoło.

— Słonia?... — zapytuje. — Nie, słonia jakoś nie zauważyłem.

Mam wrażenie, że inteligencja w Polsce przypomina obecnie owego bystrego spostrzegacza z ogrodu zoologicznego. Widzimy proletarjat (u nas 580 tys. ludzi!), kapitalizm, walkę klas, świt nowej kultury robotniczej i t. d. i t. d. — nie zauważyliśmy tylko takiej drobnostki, jak chłop, t. j. ni mniej ni więcej tylko siedemdziesięciu procent ludności.

Dużoby mówić o przyczynach tego dziwacznego zjawiska. Niemałą rolę odegrała tutaj wisząca wciąż jeszcze nad nami zmora szlachetczyzny, umiejącej i dzisiaj butnie pokrzykiwać: „Chama za mordę!". Jeszcze ważniejszym czynnikiem tej ślepoty była niewątpliwie nasza „pawiość i papugowatość". Powtarzaliśmy za Zachodnią Europą, jak za panią matką pacierz, hasła i teorje Marxa, nie zdając sobie sprawy, że wielki ten myśliciel błądził właśnie w zagadnieniu agrarnem, a więc dla Polski, jako kraju rolniczego, najważniejszem. Rzeczywistość nie potwierdziła bowiem i nie potwierdza jego przewidywań. Ziemia zamiast skupiać się w niewielu rękach— rozdrabnia się na małe działki... Produkcja maszynowa nic tu nie pomaga: dwory bankrutują — gospodarstwa chłopskie mnożą się.

Przypuszczam, że tragiczne zajścia w Wulce, Łapanowie i Ropczycach zrywają nam bielmo z oczu... Zaczynamy się orjentować, że kwestja chłopska jest w Polsce tym słoniem, wobec którego inne zjawiska zmniejszają się do rozmiaru kolibrów.

Nasze posunięcia polityczne opierały się na przypuszczeniu, że wieś pozostanie zawsze bierna. Stąd zrodziła się ta wysoce niemoralna rzeczywistość, w której dopuszczało się, aby garstka baronów węglowych żerowała na nędzy miljonów; kartele i monopol łupiły ze skóry aż nadto cierpliwego konsumenta; by wreszcie cukrownicy, jak na ironję, potrząsali reklamą „Cukier krzepi!" przed oczami wygłodniałego chłopa, nie widzącego miesiącami mięsa, a nawet chleba.

Ileż materjału palnego kryje w sobie dzisiaj „wieś spokojna, wieś wesoła" i jakie panuje tam rozgoryczenie!

Podczas przewodu sądowego jeden z chłopów, zapytany, dlaczego manifestował, odpowiada:

— Bo zapałki są za drogie!

Kawiarniani politycy, patrzący na rzeczywistość przez pryzmat pół czarnej, zapewne uśmiechnęli się, czytając to zeznanie, a może nawet któryś z nich wykrzesał jaki dowcip o „zakutym chłopskim łbie". Tymczasem powiedzenie to, przetransponowane na język inteligencki, brzmi: „Rozpiętość cen artykułów rolniczych a przemysłowych sięga zbyt daleko. Dość już bezkarnego żerowania na najliczniejszej warstwie społecznej w Polsce!... Polska jest krajem rolniczym i do chłopów ma stosować swą politykę ekonomiczną!"

Zapadły surowe wyroki — chłopi powędrowali do więzień. Niczego to jednak nie rozstrzygnęło. Przy pomocy więzienia nie załatwia się żadnej kwestji społecznej.

Najbardziej a-historyczną warstwą w Europie była do tej pory warstwa chłopska. Od XV niemal wieku dzieje budowano chłopskiemi rękami i chłopską krwią, nigdy nie pytając chłopa o zdanie. We Francji XVIII wieku absolutyzm królewski, jak pijawka, wysysa z chłopów ich zasoby materjalne, zamieniając je na przepych Wersalu i kultury klasycznej — budując stałą armję i prowadząc wojny, które chłopa nic a nic nie obchodziły. Fryderyk II oddaje chłopa pruskiego junkrom w zupełną niewolę poto tylko, aby junkrzy dostarczali mu oficerów...

Rewolucja francuska i wstrząsy XIX w. pozornie zmieniły panujące stosunki. Przez parlament chłop wszedł do historji jako czynnik aktywny. Teoretykami społecznymi pozostali jednak nadal mieszczanie i to zarówno ci, którzy ustrój burżuazyjny pochwalili (Smith), jak ci, którzy go zwalczali (Marx, Lassalle i t. p.). Miasto i jego zagadnienia tak im przesłoniło świat, że nie dostrzegali wsi, a to tem bardziej, iż żywioł chłopski, trwając we właściwej sobie inercji, bardzo rzadko dawał znać o swem istnieniu. W pięćdziesiątych latach zeszłego stulecia zaszedł wszakże fakt, który przepowiadał jakoby, że interesy chłopskie zetrą się w przyszłości zarówno z burżuazyjnemi, jak i z proletarjackiemi.

Mówię tu o plebiscytowem głosowaniu na prezydenta republiki francuskiej po 1848 roku.

Warsztaty narodowe L. Blanc'a — czyli pierwsze w dziejach wprowadzenie zasad socjalistycznych w życie — zawiodły. Nie pozostało po nich nic prócz kosztów, które trzeba było pokryć. Powołany do głosowania chłop wypowiedział się jak najbardziej stanowczo przeciw socjalizmowi, powołując na stanowisko prezydenta Francji przyszłego cesarza Napoleona III. Po tym fakcie znowu chłop zamilkł w Europie na długie dziesiątki lat, powracając dobrowolnie do swej dawnej ahistoryczności.

Obecnie ten stan rzeczy się zmienia... Zdarzenia ostatnich lat zarówno w Rosji, jak u nas i na Bałkanach, zdają się wskazywać, że może już niedługo

Europa stanie wobec olbrzymiej siły chłopskiej, która rzuci na szalę dziejów swój decydujący głos. Nie będzie to rewolucja w ścisłem tego słowa znaczeniu — zwycięży spokojny, ale mocny opór chłopski. Jeśli bowiem mieszczaństwo, proletarjat i inteligencja swoją ruchliwością przypominają wiecznie niespokojny i burzliwy żywioł morski, to chłop w swym nieco skostniałym konserwatyzmie stanowi twardą, silną skałę. W Rosji o tę skałę rozpryskują się najśmielsze zamiary, w Polsce i innych krajach agrarnych roztrzaska się o chłopską wolę liberalizm kapitalistyczny...

Jan Waśniewski

CELE I ZADANIA WIĘZIENIA

Sądzę, że każdy kto siedział w więzieniu, myślał o tem, jakim celom ma ono właściwie służyć.

Niezwykłe koleje, jakie przechodzi świat w swej strukturze ustrojowej w ciągu ostatnich lat piętnastu, czynią tę sprawę tembardziej aktualną.

Gdy rewolucja 1917 roku uwolniła z więzienia wszystkich więźniów *politycznych*, niejeden z nich, wychodząc, z żalem pozostawiał za kratą wielu ludzi dobrych, wartościowych lub też całkiem złamanych, nieszczęśliwych, zupełnie nieszkodliwych dla żadnej zbiorowości, sporo pozatem ludzi niezupełnie normalnych psychicznie. Wszystko to musiało pozostać w więzieniu, gdyż rewolucja ich nie uwalniała. Wtedy to stanął praktycznie przed wielką liczbą ludzi myślących problemat *celów i zadań więzienia*. W poprzednim artykule zajmowała nas wyłącznie kwestją więźniów politycznych, ideowych. Tu teren rozważań rozszerza się, interesuje nas ogólnie problemat więzienia.

Gdy mowa o celach więzienia, cel zemsty i odwetu teoretycznie wyklucza się całkowicie. Pozostają dwa inne ujęcia sprawy: więzienie ma być *środkiem poprawy*, czy też tylko *sposobem izolacji*.

Wielu teoretyków więziennictwa w różnych krajach wysuwa zdecydowanie, jako zasadnicze zadanie więzienia — współdziałanie z poprawą więźnia. Tak samo stawiają kwestję teoretycy więziennictwa polskiego. „Kara więzienia (czytamy u p. Zygmunta Bugajskiego: „Zasadnicze wiadomości z zakresu praktycznego więziennictwa"), polega jedynie na pozbawieniu wolności i ograniczeniu możności komunikowania się ze światem zewnętrznym, ma ona na celu poprawę więźnia przez odpowiednią naukę i wdrażanie do pracy" i dalej: „Każdy dozorca więzienny jest obowiązany w zakresie swoich czynności dbać o moralną poprawę więźniów..."

Nie wiem, czy ludzie, którzy zaważyli w dziejach myśli więziennej (i wogóle kryminologicznej) na ukształtowaniu się i zwycięstwie tego poglądu na zadanie więzienia (roli jego wychowawczo - poprawczej), siadywali sami w więzieniu? Jest to wątpliwość o bardzo zasadniczej wadze, bowiem można śmiało twierdzić, że znać więzienie naprawdę, *od środka*, może tylko ten, kto sam w niem w charakterze więźnia przebywał. Warto byłoby przeprowadzić pomiędzy byłymi więźniami — ankietę *o wpływach więzienia na człowieka uwięzionego*. Mam głębokie przekonanie, że pogląd tych ludzi na możliwości moralno - poprawczo - wychowawcze więzienia okazałby się zupełnie zgodny: *więzienie nikogo nie poprawiło, nie wychowało, nie umoralniło i nigdy tego osiągnąć nie potrafi.*

Dlaczego? Przyczyn jest wiele, a każda z nich sama przez się jest wystarczającą dla uzasadnienia sformułowanego tu twierdzenia.

Józef Piłsudski, mówiąc o *psychologji więźnia*, potrafił w paru słowach dać syntezę tej właśnie myśli, że więzienie nie może być instytucją wychowawczą. „...*Więzienie jest poto, aby było ludziom przykro*". (p. tom VIII pism, mów i rozkazów, str. 278). Słuszności tych prostych słów nie ominie i nie zneutralizuje żadna filozofja i teorja więziennego wychowawstwa. Atmosfera nieustającej „przykrości", z jaką nie rozstaje się więzień, nie sprzyja, zaiste, zadaniom wychowawczym. I dalsza, szczegółowa analiza przeżyć psychicznych więźnia w tem samem studjum Marszałka Piłsudskiego utwierdza nas w przekonaniu, iż właściwości więzienia, zasadniczo jego „ciężary" — wykluczają możność dokonywania pracy wychowawczo - poprawczej nad więźniem. Ciężar stałej obserwacji postronnego człowieka, poczucie brutalnej zależności od przemocy, niezwykłe ubóstwo życia w więzieniu, życia, zmuszającego więźnia do nieustannego zużywania sił duchowych, ażeby wytworzyć sobie jakąś własną, w sobie zamkniętą, treść życia przez długie, nieruchliwe dnie — wszystko to są okoliczności, niesprzyjające wychowawczej roli więzienia. To wszystko działałoby z całą siłą nawet wtedy, gdyby więzienie było idealnie urządzone i prowadzone, obsłużone przez inteligentny i kulturalny personel :działałoby poprostu *przez fakt pozbawienia człowieka swobody*, fakt, wykluczający normalną atmosferę pedagogiczną.

A przecież więzień idealnych niema, personelu inteligentnego i o humanitarnych zasadach trudno się dopatrzeć, w zwykłych zaś więzieniach dzieją się jeszcze inne rzeczy, przekreślające możliwości wychowawcze. W walce pomiędzy więźniem a więzieniem, nieuniknionej, bo więzień walczy o swoje prawa, o polepszenie warunków, protestuje pojedyńczo i zbiorowo, szuka możliwości ucieczki, próbuje organizować sobie parodje niezależności, w walce tej zachodzi najczęściej łamanie godności osobistej, uczucia solidarności koleżeńskiej, ideowej i poprostu ludzkiej tężyzny moralnej. Wprawdzie w książce „Bibljoteki Funkcjonarjusza więziennego" (napisanej przez p. Bugajskiego), czytamy, że „nie wolno przypominać więźniowi jego występnej przeszłości... niedopuszczalnem jest odnoszenie się do więźniów w sposób obelżywy lub uwłaczający, a zwłaszcza bicie ich" (p. l. c., str. 10), — ale wykonywanie tych przepisów pozostawiało zawsze bardzo dużo do życzenia.

Od pewnego czasu w niektórych więzieniach segreguje się więźniów na otrzymujących i nie otrzymujących żywności od rodzin i izoluje jednych od drugich. Skutek wychowawczy takich zarządzeń jest jasny: zwalcza się tym sposobem solidarność ludzką, solidarność koleżeńską, jedną z najbardziej dodatnich cech duszy ludzkiej. Segregacja idzie i dalej: np. oddziela się inteligentów od robotników, choć tu chodziłoby już nietylko o podział żywnością,

ale i pomoc w nauce, samokształceniu — zwykłej ucieczce moralnej więźniów od męczarni zamknięcia.

Szkoda, że ludzie regulujący stosunki w więzieniach nie znają dziejów walk solidarnościowych w więzieniach. Nie szkodziłoby im zapoznać się chociażby z opisem więzienia w Irkucku w r. 1887 u Marszałka Piłsudskiego (p. tom III, l. c., str. 55 — 71), tembardziej, że pewno niejeden funkcjonarjusz więzienny deklamuje o „ideologji" i t. d.

A godność ludzka? Komu to było potrzebne dawniej nakazany zwrot do więźnia per pan albo per wy zastąpić przez „ty"?

„Poprawa" człowieka może być też rozmaicie rozumiana. Jeżeli jednak operować pojęciami dostępnemi dla wszystkich ludzi myślących, trudno sądzić, że się współdziała *z poprawą* człowieka, jeżeli się zniszczy w nim jego godność ludzką, wytępi uczucie solidarności, współczucia dla słabszych i t. p.

Nawet praca, w istocie będąca czynnikiem wychowawczym, w warunkach więzienia musi bardzo wiele tracić na swej wychowawczej wartości.

Należy jeszcze powiedzieć kilka słów o innej stronie destrukcyjnych wpływów więzienia. Jest rzeczą niewątpliwą, że w każdem więzieniu może się znajdować pewien, choćby niewielki odsetek, ludzi istotnie przestępczych. To nie znaczy, że mieli być to ludzie, zgóry predestynowani do przestępstw, tylko warunki życiowe niektórych mogły się tak fatalnie składać, że ustawicznie popadali w popełnianie występków, że się z tym procederem zżywali, że utracili już drogi powrotu do normalnego, uczciwego życia. Z tem wszystkiem może się w poszczególnych wypadkach łączyć okoliczność posiadania pewnych złych cech i przywar: powiedzmy, lenistwa, okrucieństwa, tępoty i t. p. Takie osobniki tworzą w więzieniu *istną akademję* sztuki złodziejskiej, bandytyzmu z „mokrą" i bez „mokrej" roboty, wszelakiego fałszerstwa i t. d., traktowanych już zawodowo. Chociaż nie są to ludzie, pozbawieni cech ludzkich, jak to nam doskonale przedstawił w swym głębokim i wstrząsającym reportażu z więzienia w *Epoce* p. N. N., znajdujemy u nich również „przegrody moralne".

Otóż wpływ takich ludzi na młode, słabe, niewyrobione jednostki, masowo trafiające do więzienia za rozmaite drobne rzeczy, bywa istotnie całkiem destrukcyjny. Bezczynność, na którą skazani są więźniowie (pracować w warsztatach w najlepszym wypadku może tylko część), ciężkie stany psychiczne, związane u ludzi młodych z pozbawieniem ich przez czas dłuższy normalnego życia płciowego, choroby woli, powstające często w więzieniu u ludzi słabszych wskutek ciągłego strachu, przymusu przemocy; — wszystko to sprzyja przenikaniu wpływów destrukcyjnych „zawodowców".

Więzienie ma atmosferę wewnętrzną, niesłychanie sprzyjającą wszelkiej destrukcji i demoralizacji.

Więzienie nie nadaje się, zdaniem mojem, na instytucję poprawczo-wychowawczą, gdyż z istoty rzeczy układ stosunków więziennych opiera się na przemocy, przymusie, wychowawstwu nie sprzyjających, w praktyce zaś — i na walce z najlepszemi zaletami człowieka, że wymieniłam tu godność ludzką i solidarność.

Trzeba uznać, że zadaniem więzienia *jest nie poprawa, lecz izolacja.* O tem zagadnieniu — w następnym artykule.

Halina Krahelska

O D G Ł O S Y

Ż Y C I E I »B I E G L I«

Już głucho o zbrodni Maliszów. Była sensacja, przeszła, przyjdą inne.

Kto się jednak głębiej zastanawia nad okropnościami życia, znajdzie w tej już przebrzmiałej sprawie niebylejaką okazję do rozważań, chociaż Malisz już nie żyje, a Maliszowa zaczęła odsiadywać karę dożywotnego więzienia.

Ich zbrodnia była straszna. Jej przebieg, zarówno jak przebieg procesu sądowego — były stokroć bardziej „sensacyjne", niż, naprzykład, proces Gorgonowej. Ale tym razem nie było głównego źródła sensacji: nie było zagadki „kto zabił?". I nie było sensacyj dodatkowych — seksualnych. Dlatego proces Maliszów nie wzbudził takiego, co tamten, zainteresowania. A przecież — mieliśmy tu cały łańcuch rzeczy wstrząsających, niezwykłych, takich nawet, o których powiedzieć można, że przyniosły nowe przyczynki do psychologji duszy ludzkiej.

Przeszłość obojga morderców, to jakiś wymyślny, ponury melodramat. On fantasta, wizjoner, żyjący rzeczywistością wyobraźniową, jakby poza - realną ona — trzykrotna samobójczyni, wtrącona w splot sytuacyj i wydarzeń okropnych. W końcu — oboje oszaleli i urządzili krwawą masakrę, zabijając ludzi, którzy w niczem nie zawinili ich tragicznemu losowi. Tak — *oszaleli.* Mówimy to, znając już uczone wywody biegłych psychjatrów, którzy swojemi świetnemi formułami „zakwalifikowali" stany moralne i duchowe morderców.

Naprzykład:

„Badany Jan Malisz nie jest dotknięty żadną chorobą umysłową ostrą, żadnym niedorozwojem, ani przytępieniem władz umysłowych, ani nie był nigdy takim w swem życiu podobnie, jak i w chwili popełnienia inkryminowanego czynu. Natomiast, studjując dotychczasowy żywot skazanego, przychodzimy do wniosku, że Jan Malisz jest psychopatą konstytucjonalnym, należącym do typu t. zw. niestałych. („Les instables" — francuskich psychjatrów, „Die Haltlosen" Kraepelina). Dla objaśnienia dodajemy przedewszystkiem, że psychopatja wcale nie jest identyczną z chorobą umysłową, jest to tylko powstałe na tle skłonności rodowych odchylanie od normy psychicznej, i to najczęściej w niekorzystną stronę. Rysem zasadniczym takich psychopatów niestałych jest pewna psychiczna ich niedojrzałość, chwiejność ich woli i zmienność pod wpływem jakichkolwiek pobudek wewnętrznych lub zewnętrznych.

„Nad całością ich działalności góruje fantazja, skłonność do przesady, do wynajdywania szczególnych sytuacyj i do wmyślania się w nie przy zastosowaniu blagi i kłamstwa. Wielu psychopatów niestałych zdradza przytem skłonności artystyczne, częściej literackie, rzadziej plastyczne — zawsze jednak niezwykle dziwaczne. Charakterystyczną cechą dla nich jest wzmożona drażliwość. Psychopaci tacy prawie zawsze odznaczają się zaburzeniami płciowemi, uderzająco wczesnym rozwojem płciowym, czasem homoseksualizmem".

Albo jeszcze:

„1) Marja z Węgrzynów Maliszowa jest osobą zupełnie umysłowo zdrową, nie dotkniętą żadnem, choćby tylko chwilowem czy przejściowem, zaburzeniem władz umysłowych;

2) Marja z Węgrzynów Maliszowa znajdowała się w chwili popełnienia zarzucanego jej czynu w pełnej zdolności rozpoznania jego znaczenia, jakoteż w pełnej zdolności pokierowania swem postępowaniem;

3) pewna niedowartościowość moralno-etyczna, jaka przebija się w dotychczasowem życiu Marji z Węgrzynów Maliszowej, może być policzona tylko z jednej strony na karb pewnego zaniedbania w jej wychowaniu, z drugiej strony tłumaczy się jej temperamentem, wzgl. właściwościami charakterologicznemi, a na spełnienie samego czynu niema żadnego decydującego wpływu."

Żadnego... Wszystko — proste, jasne, nie budzące wątpliwości, naukowo sprecyzowane i zakwalifikowane...

A my, profani, powiadamy: wszystko to razem nie jest *żadną* analizą duszy zbrodniarza — „stałego" czy „niestałego" typu konstytucjonalnego. Formułki, nazwy, nomenklatura... Tak dalekie od otchłani rzeczywistości, jak samo życie od gabinetu wielu uczonych...

A jakże to tam w formułach biegłych określa się stan, w którym „trup prosi"?...

„Wysoki sądzie — mówił Malisz — Pan prokurator powiedział, że jestem mordercą, pan dr. Aschenbrener powiedział, że jestem chory i nieszczęśliwy, pan profesor Jankowski powiedział, że jestem psychopatą i aktorem. Wszystko to jest prawda. Aktorem byłem przez całe życie, grałem we dnie i w nocy. Teraz nie gram przed wami komedji. Uwierzycie mi, że nie gram teraz i że to nie jest komedja. Błagam was panowie, darujcie życie żonie. O sobie nie mówię, bo ja nie żyję już dawno.

Już wtenczas, jak zdałem sobie sprawę z tego, że zabiłem 6 osób — 6 osób zabiłem: matkę zabiłem, zabiłem ją. Wtenczas już przestałem żyć. Teraz zróbcie ze mną, co chcecie, duszy we mnie już nie ma. Tylko jej darujcie życie. Zrozumcie, że ona nic nie jest winna. Uwierzcie mi. Trup was prosi".

***

Po wysłuchaniu wyroku, skazującego oboje na śmierć, Maliszowie patrzyli na siebie z uśmiechem. Przewodniczący sądu zwrócił się do Malisza ze słowami:

— Panie Malisz, niech się pan zachowuje przyzwoicie.

Słowa te były niepotrzebne. *M. Czarnowski*

NA DRODZE ZASŁUG NIEŚMIERTELNYCH

Zmarł jeden z największych dobroczyńców ludzkości, dr. Emil Roux, dyrektor Instytutu Pasteura w Paryżu (od roku 1904-go). Tej stracie ogromnej nie poświęci się w prasie ani tyle miejsca, ani tyle uwagi, co niezliczonym działaczom politycznym, chociaż gromady całe tych ostatnich nie mogą porównać swej zasługi z dziełem d-ra Roux. Najrealniejsze dobro nie znajduje oceny należytej. Świat choruje na wypaczone kryterja dobra i zasługi. Dlatego jest rzeczą możliwą, że postaci takiej, jak dr. Roux, poświęca się kilkowierszowe notatki.

Całe Jego życie — to nieprzerwana, zapamiętała, najwznioślejsza praca w niesieniu ulgi rodzajowi ludzkiemu. To był jeden z tych, którzy prowadzą nieustraszoną wojnę z naturą i zwalczają plagi najstraszliwsze. Prowadzą wojnę z mikrobami, wyzwalają ludzkość z klątwy epidemij, chorób i cierpień fizycznych. Jest to wojna, prowadzona pod znakiem najśmielszej ambicji genjuszu ludzkiego. Dr. Roux był uosobieniem tej ambicji. Gdyby rodzaj ludzki wiedział i rozumiał, co przynosi mu dobro istotne, wszyscy oficjalni bohaterzy zmaleliby w zestawieniu z tytułami pracy i walki naukowej, która ulepsza życie człowieka na ziemi. Zmieniłyby swój charakter i swą treść wszystkie podręczniki historji, inaczej wyglądałoby nauczanie w szkołach, inny duch zapanowałby na świecie.

Zasługę d-ra Roux i jego sywetę duchową może najpiękniej utrwalił uczony i pisarz angielski, Paweł de Kruif w głośnej książce p. t. „Łowcy mikrobów". Przytaczamy tu urywek, nad którego treścią szlachetniejszy czytelnik zastanowi się głęboko, poświęcając chwilę zadumy pamięci wielkiego człowieka. To karta z dziejów walki z dyfterytem. Poszukiwanie i odkrycie antytoksyny dyfterytu (błonicy). Na tej drodze „zapisał Roux swe nazwisko na tablicach, które nigdy nie zaginą, dopóki będzie choć jeden człowiek żył na ziemi."

„1 lutego 1894 roku ujrzano wysokiego mężczyznę o zapadłej klatce piersiowej, ostrych rysach twarzy i czarnej czapeczce na głowie, jak wchodził do Szpitala Dziecięcego, niosąc pod pachą flaszki z żółtawą cieczą. Tymczasem w głębokim fotelu w Instytucie przy rue Dutot siedział sparaliżowany starzec o oczach tak pełnych ognia, że najbliżsi jego nie mogli uwierzyć, jakby był skazany na śmierć. Pasteur istotnie nie mógł umrzeć, nie zabrawszy z sobą pewności, że któryś z jego uczniów wypędził z oblicza ziemi przynajmniej jedną zarazę. Z niecierpliwością oczekiwał w swym gabinecie wieści od Roux.

A wraz z Pasteurem czekał cały Paryż, ojcowie i matki chorych na dyfteryt dzieci naglili Roux, gdyż słyszeli już o cudownej kuracji Behringa.

Przyniósł swe szpryce i flaszki i zachowywał się z takim spokojem, jakim niegdyś już wprawiał w zdumienie ludność Puilly-Le-Fort, podczas walki z zarazą wąglika. Dwaj jego asystenci, Martin i Chaillou, zapalili lampki spirytusowe i stali gotowi do spełnienia każdego z jego życzeń. On zaś był świadomy całej odpowiedzialności, jaka na nim w tej chwili ciążyła. Spojrzał po bezradnych twarzyczkach chorych dzieci, wzrok jego przesunął się po rączkach szarpiących kołdry w braku oddechu, a potem zatrzymał się na szprycach.

Czy jego surowica istotnie uratuje dzieci?

„Tak" — odpowiedział w nim Roux — człowiek, czujący sercem.

„Nie wiem, zróbmy doświadczenie" — szeptał Roux, poszukiwacz prawdy.

„Tak, ale, by się przekonać, jakie jest ostotne działanie owej surowicy, trzebaby zastrzyknąć ją tylko połowie dzieci w szpitalu i przekonać się, które umrą, a które się uratują, a tego przecież nie możesz uczynić" — wołał w nim Roux — człowiek serca i wtórowały mu głosy zrozpaczonych rodziców.

„Oczywiście, to straszliwa odpowiedzialność — odpowiadał na to duch uczonego. „Ale przecież fakt, że surowica leczy króliki, nie daje pewności, że działa tak samo na dzieci... A ja muszę *wiedzieć*. Dowiem się zaś tylko wtedy, gdy część dzieci zostawię bez zastrzyku, a części zastrzyknę surowicę."

„Ale — odpowiadał natychmiast duch humanitarny — jeżeli doprawdy dzieci, którym zastrzyknąłeś surowicę wyzdrowieją, jakże będziesz mógł żyć ze straszliwą winą śmierci tych setek, którym odmówiłeś pomocy?"

Był to okropny wybór, który należało uczynić.

Za uczonym Roux przemawiał jeszcze jeden ważny argument: „Jeżeli teraz nie dokona się eksperymentu, zgodnego z prawami nauki, przyszłe pokolenia badaczów będą przekonane o dobroci tego niewypróbowanego środka, a tysiące dzieci będą umierały w razie, jeżeli środek ten nie jest naprawdę skuteczny."

Mimo wszystko Roux nie mógł iść za głosem wiedzy z pominięciem głosu uczucia. Zabrał się do swego miłosiernego dzieła. W ciągu najbliższych pięciu miesięcy wszystkie dzieci, które przybyły do szpitala, otrzymały zastrzyk antytoksyny. Na szczęście wyniki były doskonałe. W lecie mógł Roux na kongresie zasłużonych lekarzy i badaczów ogłosić: „Ogólne samopoczucie dzieci, które otrzymały surowicę, jest coraz lepsze. Nie widzi się już prawie na dziecięcych oddziałach sinobladych twarzyczek, zastąpiły je ożywione i wesołe buzie"...

Zebrani wstali z miejsc i z zapałem oklaskiwali mówcę."



WEDEKIND W TEATRZE KAMERALNYM

Widza, który napatrzywszy się na różne inne, zaczyna chodzić do teatrów warszawskich, najbardziej w pierwszej chwili uderza brak i nieśmiałość reżyserji. Reżyser, który, z wyjątkiem może Francji, jest autokratą teatru dzisiejszego, zdaje się grać bardzo niewielką rolę w teatrze polskim. W ostatnich latach Warszawa miała jednego tylko reżysera, który zostawiał na sztukach swe własne, nieścierające się piętno. Mówimy tutaj o Leonie Schillerze. Można nie lubić jego twórczości, można dyskutować poszczególne pomysły, trzeba jednak przyznać, że strona widowiskowa każdej reżyserowanej przezeń sztuki miała określoną formę, była konsekwentnie przemyślana, stworzona środkami scenicznemi i narzucona widowni.

Ta ogólna uwaga o niedostatecznej roli reżyserji w teatrach polskich musiała przychodzić na myśl wszystkim obecnym na premjerze *Przebudzenia się Wiosny* w Teatrze Kameralnym. Pomimo bowiem znacznej dozy pracy, włożonej przez artystów, pomimo pięknej gry niektórych z nich, pomimo bardzo udanych oddzielnych scen — całość sztuki Wedekinda była widowiskiem ciężkiem, niekoherentnem, chwilami nawet koszmarnem, rozmijającem się z rodzajem inspiracji autora.

Sztuka Wedekinda przedstawia w szeregu krótkich, urywanych obrazów budzenie się i uświadomianie życia erotycznego w grupie uczniów i uczenic gimnazjum. Zjawisko to nie znajduje żadnego zrozumienia u osób dorosłych, reprezentowanych przez groteskową radę pedagogiczną i rodziców. W wyniku jeden chłopiec pod wpływem wiosennej melancholji odbiera sobie życie, jedna dziewczynka w piętnastym roku życia zostaje matką i umiera od skutków poronienia, sprawcę zaś jej nieszczęścia rodzice oddają do domu dla nieletnich przestępców. Po tym przebiegu akcji następuje trudny do interpretowania obraz ostatni, w którym młody zbieg z domu poprawczego skrywa się na cmentarzu i w swej chorej wyobraźni widzi podającego mu rękę kolegę samobójcę, kiedy na scenę wchodzi Nieznajomy, każąc mu porzucić zmarłych i iść między żywych.

Interpretacja *Przebudzenia się Wiosny* w Teatrze Kameralnym pozostawała pod silnym wpływem granej tam w ubiegłym sezonie z wielkiem i zasłużonem powodzeniem sztuki *Dziewczęta w mundurkach*. Sztuka Wedekinda przedstawiała się więc na premjerze jako coś pośredniego między reportażem scenicznym z życia seksualnego młodzieży gimnazjalnej i sztuką, pouczającą o potrzebie wczesnego uświadomiania dzieci. Zgodnie z tem założeniem gra zespołu artystów była realistyczna, uczniowie nosili świecące się porteczki z *décrochez-moi-ça* i uświadamiali się głośno, żeby żaden wyraz nie uszedł uwagi widzów w ostatnich rzędach krzeseł.

Ponieważ obraz końcowy nie mieści się w tej koncepcji, wykonanie jego, a zwłaszcza sposób wykonania wywołał u widzów takie wrażenie, jak nazwisko generała Augereau u starego Olbromskiego. „Generał Augereau", czyta z gazety Rafał Olbromski. „Łżesz", przerywa mu stary. Kurtyna spadła już na tę scenę przed kilku minutami, tłok w szatni dochodził właśnie do zenitu, kiedy Orosius i kilku wrażliwszych widzów siedziało jeszcze w fotelach, niby ruszeni przedwczesnym paraliżem, nie mogąc otrząsnąć się z osłupienia.

Koncepcja reportażowo - moralizatorska *Przebudzenia się Wiosny* załamuje się niejako pod swym własnym ciężarem. Przedewszystkiem, jakeśmy już zauważyli, nie można w niej zmieścić obrazu końcowego. Następnie styl reportażu scenicznego, dążący bez ogródek do oddania rzeczy samej, jest dla tematu sztuki zbyt niedyskretny. Młodzi ludzie Wedekinda spowiadają się sobie ze spraw intymnych, z natury rzeczy nieprzeznaczonych do głośnego opowiadania. Czytelnik dzisiejszy przywykł do znajdowania w powieści rzeczy bardzo intymnej natury. Książka jednak, z którą obcują się samotnie, nie potrafi nigdy być tak niedyskretna jak scena. Niektóre chwile w Teatrze Kameralnym napełniały widza nietyle zainteresowaniem dla akcji, ile pewnem zakłopotaniem. Co robić z tą nazbyt przebudzoną młodzieżą? Czy nie odesłać jej wszystkiej do domów poprawczych i nie zająć się czemś zabawniejszem?

Przebudzenie się Wiosny nie wytrzymuje dobrze włożonych na nie w Teatrze Kameralnym zadań dydaktycznych. Przedstawione w niem życie młodzieży powinno raczej tłumaczyć się samo przez się, być widowiskiem samowystarczalnem, wartem widzenia także bez żadnych celów ubocznych.

Interpretacja *Przebudzenia się Wiosny* zdaje się wymagać większego wzięcia pod uwagę ogólnej inspiracji autora. Frank Wedekind, w tem, co w nim było nowe i oryginalne, nie był ani reporterem scenicznym, ani tem mniej pedagogiem. Był poetą, piewcą miłości wczesnej, niedość określonej w formach i nazbyt określonej w instynktach, miłości chłopięcej i dziewczęcej. Wedekind rewindykował dla poezji nowożytnej pewną dziedzinę specjalną miłości, zarezerwowaną przedtem według prastarych tradycyj dla znawstwa lubieżnych starców, spadkobierców dawnego Satyra. Niektóre wiersze jego są bezpośrednim komentarzem do *Przebudzenia się Wiosny*. Przytoczymy tu najkrótszy z nich:

Ilse.

Ich war ein Kind von fünfzehn Jahren,
Ein reines unschuldvolles Kind,
Als ich zum erstenmal erfahren,
Wie süss der Liebe Freuden sind.

Er nahm mich um den Leib und lachte
Und flüsterte: O welch ein Glück!
Und dabei bog er sachte, sachte
Mein Köpfchen auf das Pfühl zurück.

Seit diesem Tag lieb ich sie alle,
Des Lebens schönster Lenz ist mein
Und wenn ich keinem mehr gefalle,
Dann will ich gern begraben sein.

Samo już imię zdaje się wskazywać, że wiersz ten jest piosenką Ilzy z *Przebudzenia się Wiosny*, która spotyka młodego samobójcę na minutę przed fatalnym wystrzałem. Wiersz ten daje odrazu ogólny sens i ton postaci Ilzy, a jeżeli weźmiemy pod uwagę związek, jaki istnieje między jej spotkaniem z młodym samobójcą i pojawieniem się w końcowej scenie na cmentarzu postaci Nieznajomego, wówczas będzie jasnem, dlaczego ten ostatni nie powinien wyglądać jak stary komiwojażer, przemawiający tonem młodego nauczyciela arytmetyki. Czytelnikom, którzy zechcą zobaczyć Wedekinda w Teatrze Kameralnym, Orosius poleca także, dla wejścia w nastrój, wiersz p. t. *Pennal*, który mógłby recytować każdy z młodocianych bohaterów *Przebudzenia się Wiosny*.

Świat chłopców i dziewczynek Wedekinda jest światem poetycznym, jak świat Ariela i w tym sensie przeciwstawia się groteskowemu światu dorosłych, jak u Fiodora Sołoguba *tichije malcziki i tichija dziewoczki* przeciwstawiają się pełnemu rozczarowań światowi ludzi zwykłych. W teatrze przeciwstawność ta, zdawałoby się, powinna stać się osią interpretacji sztuki i być stworzona środkami scenicznemi. Wtedy stałoby się zrozumiałem, dlaczego ludzkość dorosła w *Przebudzeniu się Wiosny* (rada pedagogiczna, pogrzeb i rodzice Melchiora) przedstawiona jest w karykaturze, mającej służyć za kontrast do feerji świata chłopców i dziewczynek.

Te luźne uwagi Orosiusa, który jest tylko widzem, rozmawiającym z sobą w braku bardziej zajmującego towarzystwa, nie powiedzą zapewne nic nowego artystom. Kilku z nich miało przez cały wieczór bardzo słuszne i subtelne zrozumienie sztuki Wedekinda. Na szczególne wyróżnienie zasługuje pełna prawdziwego uroku gra Marji Zarembińskiej w roli Wendli i dyskretna, ładna gra Józefa Małgorzewskiego w roli Melchiora. Dobre momenty i szczęśliwe inspiracje mieli też inni artyści, ale odosobnione wysiłki ich ginęły w chaosie całości, nieoświeconej żadną ogólną interpretacją sceniczną sztuki.

Inscenizacja i dekoracje *Przebudzenia się Wiosny* nasuwają uwagę, że teatr warszawski zdaje się — być może tylko pod wpływem kryzysu — ewoluować w kierunku teatru szekspirowskiego o dekoracjach symbolicznych, wśród których artyści poruszają się z największą swobodą, przechodząc w jednej chwili z pałacu królewskiego do chaty pustelnika i z powrotem. To uproszczenie nie szkodzi wcale, ma wpływ raczej dobroczynny, a jednocześnie pozwala znacznie rozszerzyć repertuar teatrów małych jak Kameralny.

Orosius

FILM

ZMIANA BRONI

Film sowiecki stanowi w dziejach kinematografji osobny i odrębny rozdział. Odcina się od zachodnio europejskiego i amerykańskiego filmu wyraźnem i zdecydowanem obliczem ideowem oraz wyższym bezsprzecznie poziomem artystycznym. Zdobyczy formalnych w dziedzinie interpretacji wizualnej i aktorskiej (porzucenie systemu „gwiazd") oraz w zakresie montażu nikt już, nie wyłączając zagorzałych przeciwników ideologji radzieckiego kina — nie kwestjonuje.

Zdobycze Eisensteina i Pudowkina zapoczątkowały nową linję rozwojową filmu, nierzetelnie i niekonsekwentnie podchwyconą przez wielu reżyserów europejskich. Wyraźny i bezpośredni wpływ wywarli twórcy sowieckich obrazów na twórczość Waltera Ruttmana („Symfonja wielkiego miasta"), Deslav'a i Lodsa (motywy maszynowe) czy też — Cavalcanti'ego (liryczne akcentowanie motywów społecznych).

Eksploatowano jednak zdobycze sowieckiej kinematografji — jednostronnie. Wdrażano się w świadomość artystyczną, celowo prześlepiając i starannie omijając ideologiczne stanowisko sowieckich twórców filmowych. W rezultacie — osiągano połowiczny rezultat, kościec bowiem programowy radzieckich obrazów w połączeniu z ich walorami formalnemi składał się na nierozerwalną, niepodzielną całość artystyczną.

Film sowiecki unicestwił wszelkie próby uzdrowienia sztuki kinematograficznej na drodze czystej, nieskażonej tendencjami merkantylnemi — „abstrakcji", dyskredytując oderwanie i ucieczkę od rzeczywistości pod hasłem „l'art pour l'art". Jest to zjawisko znamienne i niezmiernie charakterystyczne, że od chwili pojawienia się eisensteinowskiego „Patiomkina" na terenie międzynarodowym, nie ukazał się w Europie żaden więcej film, o charakterze zdecydowanie abstrakcyjnym (zwróciła na to uwagę p. Zahorska w artykule „Drogi rozwojowe filmu"). Abstrakcja filmowa — ucichła. Kinematografja sowiecka zdyskredytowała nie — abstrakcyjność form, lecz abstrakcyjność zamierzeń i stanowiska. Zrozumiano, że wprzęgnięcie sztuki w służbę społeczną nie musi oznaczać jej degradacji.

Wielki koturn abstrakcji zmalał — optycznie biorąc — do wysokości spracowanej pochodem podeszwy. Twórcy obrazów abstrakcyjnych znarowili oczy polowaniem na „czystą formę", przeoczając dalekosiężnem spojrzeniem treść, która donośnym głosem wołała o dostęp do ludzi za pośrednictwem ekranu.

Ściana, o którą walono głowy, cytadela nieskażonej formy, o której mury hartowała się wizja wynalazcza abstrakcjonistów — rozpadła się.

Film sowiecki odegrał rolę rewizji przedawnionych, a często naiwnych opinji o sztuce. Abstrakcjoniści rozszczepiali trójwymiarowa rzeczywistość na elementarne składniki we wzniosłej intencji dobycia czwartego, najwyższego wymiaru: absolutnego oblicza wizualnego świata i materji. Linja, figura, bryła, pozbawione nawet przestrzennej zależności, usamodzielnione jako elementy twórczości artystycznej, stały się przedmiotem akrobatyki wzrokowej, która ekscytowała oko, ucząc *patrzenia*, a zarazem — pogardy dla fabuły, tendencji i treści.

Kinematografja Z.S.R.R. *zespoliła* w sobie dwie zasadnicze postawy twórcze: społeczno - wychowawczą i estetyczno - formalną. Na tem polega jej siła i głębia.

Modernizm, parnasizm, symbolizm, próbowały bronić niepodległości artyzmu. Asbtrakcjoniści zamknęli film w więzieniu czystej formy. Twórcy sowieccy wbrew tego pokroju zamierzeniom zaczęli od pierwszych swoich obrazów deklinować sztukę z życiem we wszystkich przypadkach i — rychło wystawili nagrobek abstrakcji.

Nastawienie programowe kina sowieckiego, wyrażające się w wielu wypadkach w szkodliwą artystycznie agitację i propagandę, było musem, koniecznością bieżącego dnia. Wprzęgnięto film narówni, a nawet w silniejszym stopniu jak teatr i literaturę— do dzieła budownictwa socjalistycznego. Program pracy był oczywisty: wyolbrzymić historyczne *dziś*, odsłonić perspektywy lepszego *jutra* i likwidować w umysłach i duszach nienawistne *wczoraj*. Podczas piętnastolecia swego istnienia ustaliła już kinematografja sowiecka wyraźną linję tematyki i rodzaju: uprawiano reportaż, dramat historyczny i epikę.

I oto dziś za najaktualniejszy dla twórczości kinowej uważają sowieccy reżyserzy — komedję, która pozwoli ostro stawiać pewne zagadnienia i oświetlać je nie z epickiego dystansu, ale — demaskować bronią śmieszności.

Rodzaj komedjowy wysuwa się na honorowe miejsce tematów, nad któremi pracują teraz czołowi reżyserzy sowieccy.

„Przystępując do komedji..." (tytuł artykułu zamieszczonego w „Wiadomościach Literackich", Nr. 47) składa Eisenstein znamienną deklarację *zmiany broni*.

Oświadczenie Eisensteina jest bardzo cenne, jako wytyczna nowego kursu kina sowieckiego. Sam Eisenstein przyznaje, że zawiera się coś niezywkłego i niespodziewanego w zwrocie, jaki się dokonywa pod hasłem „twarzą do śmiejącej się twarzy widza". Dotychczas surowość, powaga, patos wydawały się nieodzowną cechą sowieckich obrazów. Podczas pobytu Eisensteina w Paryżu, zadano mu na odczycie w Sorbonie pytanie, czy w Związku Radzieckim umieją... się śmiać. Epika, surowa tematyka zrodziła u widza zachodniej Europy podejrzenie, czy Rosjanie nie utracili zdolności śmiechu. Przypuszczenie to okazało się niesłuszne. Na przełomie dwóch piatiletek ascetyczny patos ustępuje miejsca śmiechowi.

Zgóry odżegnywa się Eisenstein od wszelkiego powinowactwa śmiechu młodej klasy proletarjatu z komizmem, uprawianym w Ameryce lub w Europie. Tu — śmiech zabawy, rozrywki i wesołego spędzania czasu, gdy żołądek jest pełny albo oderwanie sztuczne od trosk rzeczywistości, gdy żołądek jest pusty. Tu — „miękka ironja wobec zabawnych kłopotów śmiesznego dziwaka, który, znalazł się w śmiesznej sytuacji".

Trudno zgodzić się z tego rodzaju dyskwalifikacją Chaplina, którego komizm wywodzi się nietylko z śmieszności sytuacyj i dziwacznej jego postaci. Każdy uśmiech Chaplina bliski jest łez. Komizm jego leży na pograniczu tragizmu.

Eisenstein składa deklarację nowego humoru—„humoru walki". Nawiązuje do tradycji rosyjskiego śmiechu, utrwalonej dziełami Czechowa, Gogola, Sałtykowa — Szczedrina.

Znamienną cechą ich humoru była nuta społecznodemaskatorska: „od miękkiego ironizowania Czechowa do goryczy gogolewskiego „śmiechu przez łzy" i wreszcie do świszczącego bicza Szczedrinowskiego pamfletu i satyry".

Myśl społeczna, skuta w kajdany przez carską ochranę i żandarmerję, kryła się w pamflet i satyrę. Wybuchała „śmiechem — jedyną bronią protestu, gdy ręce i nogi są związane".

Dziś — sytuacja śmiechu w Rosji jest inna. Ale niema jeszcze miejsca na śmiech beztroski i lekkomyślny.

Nowa komedja filmowa w Z.S.R.R. nie będzie zamaskowaną formą protestu bezsilnego człowieka, nie będzie pustą rozrywką, nie będzie odpoczynkiem.

„Śmiech—to tylko zmiana broni", oświadcza Eisenstein. Jego ostrze godzić będzie tam, gdzie nie warto używać miażdżących tanków gniewu społecznego.

Filmowa komedja sowiecka, która naradza się obecnie — odegra rolę przedewszystkiem *likwidatora*. Zlikwiduje obyczajowy i myślowy spadek po przeszłości, wytępi przeżytki, które pokutują w duszach i w mózgach. Podejmie walkę z bezwładem nawyków, przekazanych przez dzień wczorajszy, oczyszczając drogę przed jutrem „nowego obywatela", którego chcą wychować Sowiety.

Słowem: „wojujący humor klasowy".

Deklarację „zmiany broni", złożoną przez Siergieja Eisensteina, potwierdza i umacnia informacyjny artykuł Borisa Szumiackiego o „Problematach kina sowieckiego".

Eisenstein ukończył komedję pod tytułem „Sen czy rzeczywistość", która ośmiesza nastroje i przeżytki mieszczańskie.

Room nakręca komedję według scenarjusza pisarzy satyrycznych Ilfa i Pietrowa. Dowżenko opracowuje komedję „Car".

Simonow przygotowuje film „Entuzjazm".

Każdy z tych obrazów potrąca o kolizję „starego" i „nowego", jedno tępiąc, drugie budując.

Śmiech nowych komedyj sowieckich walczy,.

Eisenstein wierzy, że „nowy rodzaj śmiechu wypełni nową stronicę światowej historji humoru i śmiechu".

Trudno dziś orzec, czy zapowiedź Eisensteina spełni się. Zadecyduje o tem pierwsza filmowa komedja sowiecka. Jaka będzie reakcja widza? Czy „wojujący humor klasowy" wywoła u niego... śmiech? Czy pojawiający się na twarzy widza uśmiech nie będzie zbyt krótkotrwały, już w chwilę po jego pojawieniu się — utrącony *powagą* ataku i zagadnienia, w które śmiech ekranu godzi? Czy „nowy śmiech" nie będzie w swem bojowem nastawieniu zbyt surowy lub zbyt dotkliwy, przeistaczając zamierzenia komedjowe w celną i ostrą satyrę?

Wówczas bowiem „nowy" śmiech byłby jedynie nawrotem do Czechowa i Sałtykowa - Szczedrina: do ironji, pamfletu i satyry.

Józef Szpecht

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

CZERWONE WĘŻE

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa zainicjowało pożyteczną bibljoteczkę pod nazwą „Polska i świat współczesny", przeznaczoną dla młodzieży. Bibljoteczka wypełnia istotną lukę w nauczaniu szkolnem. Rozpada się ona na kilka cyklów: historyczny pod nazwą „Walki o niepodległość", krajoznawczy — „Po ziemiach polskich", fizyczny — „Ujarzmiamy żywioły" oraz cykl „Budujemy państwo", którego zadaniem jest wprowadzić młodzież w świat pracy i codziennego trudu różnych zawodów.

Do cyklu tego należy książka Heleny Boguszewskiej p. t. „Czerwone węże".*) Jej forma mogłaby służyć za wzór współczesnej lektury dla młodzieży. Styl — jasny, bezpośredni, konstrukcja książki — zwarta i prosta. Najprostszemi słowami oddane dzieje Władki, hutnickiego dziecka. Hutnicy strajkują. Na czas zatargu dzieci hutnickie jadą „do miasta Łodzi", zabierane przez rodziny robotnicze, które w ten sposób ulżą strajkującym. Piękny dla młodego czytelnika przykład solidarności świata pracy. Zkolei opisuje Boguszewska środowisko tkackich i włókienniczych robotników łódzkich. Pobyt hutnickiej dziewczyny u rodziny łódzkiej daje autorce okazję do zaznajomienia młodego czytelnika zarówno z trybem i treścią pracy walcowni, hut, pieców górnośląskich jak i fabryk włókienniczych, przędzalni, nicielnic, pralnic i drukarni tkackich polskiego Manchesteru. Mały przybysz z Królewskiej Huty wtrącony zostaje w świat obcych nazw i obcej pracy, z którą szybko jednak się zżywa. Władka niechętna jest nieznanym ludziom. I oto zwykła kolekcja próbek perkalowych odmienia w oczach dziecka cały świat. Jakże pięknie i prosto opisuje Boguszewska tę chwilę: „...Ale Władka trzymała już „to" w ręce — i odrazu jakby się cały świat zmienił w jej niechętnych oczach, od tych kwiatów czerwonych, pomarańczowych, żółtych, od tego deseniu granatowego z zielonem, od tych niebieskich trójkątów czy liści, od fioletowych dzwonków na czarnem tle... Kolekcja? ...Ta cudowna rzecz, ten albumik z ponaklejanemi na szare tekturowe kartki wszystkiemi kolorami świata, zamkniętemi w kwadracikach kretonów czy perkali?... — Kolekcja? — szeptała w zachwycie..."

Dokonywa się też za jej sprawą mały „przewrót" w rodzinie, której wszyscy członkowie już od kilku pokoleń są włókniarzami czy tkaczami. Władka opowiada łódzkiemu Adamowi o hutniczych piecach, o żarze, blasku i upale, o łoskocie maszyn i młota parowego, o roztopionem żelazie, płynącem po czarnej ziemi strumieniami, jak... węże, jak czerwone węże! I oto pod wpływem tej opowieści, młody Adam wyłamuje się z kręgu rodzinnego zawodu: postanawia zostać już nie włókniarzem, ale hutnikiem.

Jedno tylko zastrzeżenie budzi piękna książka Boguszewskiej. Młody czytelnik poznaje obrazowo tryb pracy i zawodowego trudu robotników śląskich i łódzkich, ale w niedostatecznym bodaj stopniu poznaje tryb ich życia. Łatwo było tę lukę zasadniczą wypełnić, wskazując np. *dlaczego* strajk wybuchnął, dlaczego piece hutnicze wygasły? Pominięcie i przemilczenie tej sprawy było może ze strony autorki celowe. Ale obraz świata pracy stracił tu na pełni. Obok akcentów bohaterstwa, które dobyła Boguszewska z powszedniego trudu hutników, brak akcentów równie powszedniej nędzy i biedy, które w oczach młodzieży pogłębiłyby niewątpliwie to bohaterstwo pracy i uzupełniłyby całokształt ważnych spraw, które autorka opisuje.

Ryszard Oborski

*) *Helena Boguszewska*. Czerwone Węże. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1933.

PROPAGANDA NOWEGO SUMIENIA

Ukazała się w języku niemieckim interesująca książka pisarza szwajcarskiego, Hansa Zbindena p. t. „Technika i kultura ducha" („Technik und Geisteskultur". Nakład R. Oldenburg. Monachjum — Berlin 1933).

P. Zbinden, wielki przyjaciel Polski, ogłosił poza szeregiem odczytów o nas przez radjo szwajcarskie, liczne artykuły w prasie światowej, tchnące nadzwyczajnem zrozumieniem wartości kulturalnych różnych połaci naszego kraju. Owocem wędrówki po wschodnich Karpatach, które odbywał pod kierownictwem jednego z najlepszych dzisiaj znawców Huculszczyzny, D-ra Stanisława Vinzensa, przygotowującego potężne o niej trzytomowe dzieło, były szkice niemieckie p. t. „Ostkarpathenland. Wandernugen in den huzulischen Bergen", ogłoszone w berneńskim *Bund*.

Zbinden jest niezmordowanym propagatorem panidealizmu, t. j. światopoglądu filozoficznego R. M. Holzapfla i poświęcił się rozpowszechnieniu jego idej w zestawieniu z najbardziej aktualnemi kwestjami ostatniej doby. Koncepcja Holzapfla łączy właśnie afirmację postępu technicznego z wiarą w odrodzenie na tej podstawie nowej religji. Zbinden jest zdecydowanym zwolennikiem postępu technicznego. Dziecinną wiarę Rousseau'a w złoty wiek niecywilizowanej ludzkości uważa za śmieszną. Walkę Ruskina z industrjalizacją Anglji w imię niszczonego piękna przyrody uważa słusznie za bezowocną, gdyż ideały średniowiecznych form, do których odwoływał się Ruskin, przeżywały już wtedy wielki kryzys.

Rozwój techniki i, co za tem idzie, coraz większe odciążenie człowieka wtedy tylko stworzy trwałe wartości, o ile oprze się na pozytywnych ideałach, a przedewszystkiem na nowej etyce.

Zbinden analizuje, idąc w tem w zupełności za Holzapflem, problem sumienia ludzkości i dochodzi do wniosku, że mimo tylowiekowego rozwoju, skala etycznej oceny pozostała nadal nadwyraz szczupła. Nie wyszliśmy poza krąg dwóch form sumienia: sumienia grupowego lub niwelującego.

Pierwsza forma przyjmuje za dobre i wartościowe wszystko to, co jest przynależne do naszej grupy etnicznej, klasowej, narodowej czy rasowej, piętnując zarazem wszystko poza nią stojące, jako ujemne i złe. Sumienie niwelujące, które swój najdobitniejszy wyraz znalazło w etyce chrześcijańskiej, porzuca przesadnie wszelkie różniczkowanie, nakazując do wszystkich jednostek bez różnicy ich znaczenia i wartości stosować jednaką miarę. Tendencja ta w niektórych fazach — jako przeciwstawienie sumienia grupowego — wpadała w drugą krańcowość, stawiając maluczkie grupy wyżej niżeli jednostki przedsiębiorcze, dla ludzkości pożyteczne.

Sumienie nowoczesne — zdaniem Zbindena — winno stanąć wysoko ponad pierwotny probierz grupowej czy rasowej przynależności, ale musi również wyjść poza krąg niwelującej wszystko etyki.

Probierzem etycznym w stosunkach społecznych może być jedynie znaczenie jednostki i jej wartość dla duchowego rozwoju ludzkości. Stąd postulat nowego sumienia, które ustanowi jako najwyższą dyrektywę działania w sprawach społecznych i wychowawczych taką miłość, która ogarnia wszystkich ludzi, ale równocześnie różnicuje według cech duchowych.

Nie rozwój maszyn i współczesna technokracja jest przyczyną bezrobocia i walki klas, ale jej egoistyczne wykorzystanie. Zużytkowanie rozwoju techniki wedle zasad nowego sumienia uwolni jednostkę wartościową duchowo od absorbującej ją w całości walki o chleb codzienny i pozwoli kierować ku ideałom wyższym.

Równocześnie jednak rozbudzi ono drzemiące w człowieku pierwiastki wiary w kierujące światem wyższe i doskonalsze istoty. Będzie ta wiara religją, oczyszczoną z ciasnych naleciałości dogmatycznych, gdyż oprze się o najnowsze zdobycze naukowe. „Jak teleskop, tak też i mikroskop należeć będzie niejako do najświętszych przyborów religji panidealistycznej. Wzbogaci ono niezmiernie głębsze pokłady świadomości i spowoduje wykwit nowych zalążków sztuki i religji".

Książka Zbindena jest, jak widać, wyrazem nowoczesnych tendencyj w dziedzinie filozofji, które łączą niezachwianą wiarę w rozwój techniki i nauk ścisłych z wiarą w odrodzenie życia religijnego.

I. Reisler

Z TEJ I Z TAMTEJ STRONY KONTUARU

(Dokończenie).

Idzie. Chłopak podyrdał naprzód. Chce go jeszcze zapytać, czy przynieśli co z ryb, ale już się gdzieś zapodział. Natomiast z poza zakrętu ulicy wychodzi ktoś znajomy: gibki, zgrabny elegancki brunecik w popielatych spodniach i w „banana" letniej koszulce.

— Ejże, to Stefek Kubasiewicz. Chyba nie do domu? A może się przeprosi ze starym?

Nie wytrzyma: zaczepi go.

— Dzień dobry panu Stefciowi — nie śmie mu jakoś mówić po imieniu, bo tak urósł i shardział, jakby nie ten Stefek.

Zaczerwienił się, skrzywił, ale przystanął, niby, że mu to wszystko jedno, bo skoro raz przyszedł na swoją ulicę, to wiadomo, że go ktoś ze „swoich" zacznie wybadywać.

— Ale się pan zmienił! Owszem, przystojny z pana kawaler, aleć to zawsze nie to, co na mamusinym wikcie.

— Na swoim najlepiej — burknął.

— Ano, pewnie, pewnie — przytakiwała, żeby coś jeszcze z niego wyciągnąć. — Bo to ja słyszałam, że w tym barze redukują orkiestrę?

Roześmiał się.

— Czego to pani kiedy nie usłyszy? A co nie mają redukować: już zredukowali. Ale my sobie radzimy — cała wiara w siedmiu chłopa po podwórzach grywamy!

— Po podwó — — — A mama, a tatuś co?

„Tatuś", „tatuś"... Nie chciał ojciec, żebym chodził do konserwatorjum — to ma. A jeść przecie muszę.

— To nie idzie się pan Stefcio przeprosić?

— Co? Przeprosić?? — spojrzał na nią z góry i tak „honorowo" (istna matka), że musiała oczy spuścić.

— I nie boi się pan ojca spotkać?

— Ja się mam bać? Co też pani... Nie dziś to jutro tu przyjdziemy, bo nam te strony właśnie na obchód wypadają.

Ogłupiała poszła do siebie.

— Jakże to... jakże to... — biła się z myślami — powiedzieć Kubasiewiczce, czy nie powiedzieć? Bo jakże to: taki wstyd!

W domu okazało się, że chłopcy przynieśli parę rybek, więc się zabrała do oskrobywania, ale nawet to jej nie rozweseliło. Skrzyczała nawet chłopaków, że jej całą podłogę wodą zaleli — myślała jednak ciągle o tamtem.

Aż mąż zwrócił uwagę na jej milczenie.

— Cóż tam?

— A bo co?

— Bo nic nie gadasz?

Dawniej mu było wszystko jedno: puszczał mimo uszu jej gadanie, ale teraz odkąd stracił pracę, wolał słuchać choćby tych babskich nowinek, niż ciągle rozmyślać o swojem położeniu bez wyjścia — bo chybaby zwarjował...

— A co mam gadać? A po drugie: nie twoja męska sprawa — powiedziała to zresztą z perswazją w głosie.

Wieczorem po zamknięciu sklepu stukała do kuchni panny Kazi. Sklepowa z ciężkiem westchnieniem złożyła zeszyt: właśnie skończyła „robić" kasę.

— Przyszła mi pani powiedzieć o Stefku.

— To już pani wie?

— Był u mnie — nie wytrzymała panna Kazia.

— By-ył? U pani? Może brał co na rachunek?

Tu dyskrecja panny Kazi chwyta ją mocno za język. Ogromnie nie lubi takich pytań. Posłyszeć o klijencie w sprawach, związanych ze sklepem: po co? Owszem: może się przytrafić, że się poskarży czasem, jednak nigdy nie wymieni, ani kto, ani co, ani na ile... A więc:

— Nie—powiada—nie na rachunek, a za gotówkę. Bo mówi, że takiego masła, jak u mnie nigdzie nie dostanie.

— Aha. Bo jak-em o tem podwórzu usłyszała, to mi się niedobrze zrobiło i zaraz-em pomyślała, że pani poradzi...

Siedemnastoletnie popychadło sklepowe poczęło człapać na swoich potwornie grubych stęporach, więc się usunęły do pokoiku i szeptały żarliwie i poufnie.

Drugiego dnia od rana próżno się pani Zajączkowska dobijała do drzwi Kubasiewiczów.

— Kie licho! Gdzież ona siedzi? — myślała.

Jakoś w południe podeszła może z piąty raz, gdy przy tem stukaniu zastał ją ciężko zasępiony przodownik.

— Pani do żony z interesem? Niema jej. Z samego rana wyjechała do Wołomina. Będzie około szóstej.

— E, ja nic takiego... Chciałam trochę soli pożyczyć. Lekkie zdziwienie odbiło się na jego nawarstwionej chmurami twarzy: przecie się nie kochają te dwie kobity i już dawno skończyło się z pożycza-

niem. Wzruszył ramionami i bez słowa wszedł do mieszkania.

— To chyba dzisiaj nic z tego — kombinowała — on nie wyjdzie, aż wieczór, a na schodach jej pewno nie będę mogła zdybać. Może zresztą temu smarkatemu nie będzie znów tak pilno...

Nie miało się jednak stać tak, jak to sobie umyśliła.

Daremnie co chwilę wyglądała na schody: Kubasiewiczowa nie nadchodziła, a gdy wreszcie przyszła. — — —

— To mi tylko migło przed oczami, jak ten piorun... — zdyszana pani Zajączkowska wyrzucała z siebie słowa przed licznem — zebranem wkoło sklepowego kontuaru — audytorjum. Nawet-em się nie spostrzegła, kiedy przeleciała przez sień, aż tu słyszę, że ich drzwi stukły. Matko Boska — myślę sobie — jak tu się zamówić? Bo odkąd ona się zrobiła taka honorowa, to i nie miałam przyjemności zanadto z nią rozmawiać. Ale jak-em sobie wspomniała na moich chłopaków... Mój Boże nie będą oni mieli matury, a i to ichbym po podwórkach z muzyką nie puściła. — Nie puś-ci-ła-bym, choćbym miała ze trzy posługi wziąć. A tu jeszcze syn przodownika! Trzeba przestrzec — myślę sobie — bo, jak jej ludzie w złości powiedzą, to ją gotów szlag trafić, jakby mnie trafił, gdyby się moim synom taki los garbaty przydarzył. Niechby jakoś przetłumaczyła staremu... niechby tego swojego fąfla przywiodła do opamiętania... Jużem nawet zapomniała, żeśmy z sobą w koleżeństwie nie były. Ale cóż: zawsze ona przodownikowa, a po drugie: matka.

— Wchodzę, patrzę: ona wiśnie myje (co je widać z Wołomina przywiozła), a on się goli. „Nie przeszkadzam"? — mówię grzecznie (bo anim zdążyła sobie ułożyć, co i jak zagadać) „Nie" — odpowiada. Wtem... jak nie zaczną grać i śpiewać z podwórza. A ona patrzy się na mnie, czego ja mogę chcieć i tak niewiele myśląc, pogląda w okno, jak to zwykle, ażeby wyjrzeć na muzykantów. I — jak nie krzyknie: „Stefek"! Aż mi w uszach zawierciło. A on — jak nie syknie... Brzytwę rzucił i — jak nie podleci, jak nią nie szarpnie, aż się na ziemię przewróciła — a sam do okna! Dopiero ja do niej: podnoszę ją i wołam: „Tak się nie robi, panie Kubasiewicz, tak nie można". Jemu się tylko ten kark zaczerwienił i jakby zgrubiał w oczach — wciągnął w siebie powietrze i krzyczy: „Panie dozorca, psiakrew, panie dozorca! Czym panu nie mówił, że nowe rozporządzenie zabrania puszczać na podwórza muzykantów, handlarzów i innych złodziejów?! Wyrzuć pan tę hołotę wont! Trzasnął oknem, mało szyby nie wyleciały — dopiero się odwrócił. Ale już nie był czerwony, tylko blady, jak ta ściana. Widać się z tego wszystkiego brzytwą zaciął, bo mu z jednego policzka krew — kap, kap — na koszulę. Ażem się przeżegnała, bo się patrzył na nas, a jakby nie na nas. Ona zaś — jak-em ją posadziła na krzesełku — siedzi: honorowość z niej obleciała, jak prześcieradło, głowę przechyliła, ręce jej opadły i płacze — niczem ta dawna Lodzia, cośmy z nią we trzy do bieli chodziły. „Jednego mi zabrali" — powiada — „a drugi... a drugi..." Ale mnie zaraz zawołał mój starszy chłopiec, że to mężowi czegoś było trzeba, więcem jej tylko wody podała i poszłam.

Wzdycha panna Kazia za kontuarem, wzdychają klijentki.

— Oj, tak, tak, moja pani: niektóry choć i ma co jeść — to mu się znowu inne nieszczęścia na głowę zwalają.

— Zamykać tam, zamykać — grzmi od schodków głos posterunkowego. Pokazuje zegarek na ręce i żartobliwie grozi palcem.

— Rany Boskie! Wpół do ósmej.

Rozbiegają się jedna za drugą. Siedemnastoletnie popychadło przymyka drzwi, gdy z pośpiechem wsuwa się ktoś spóźniony.

— Och, przepraszam, nie myślałam, że to już tak późno...

— Nic nie szkodzi. Co pani sobie życzy?

— Proszę dziesięć deka polędwicy.

— Niestety, zabrakło, A może szyneczki? Bardzo świetna szynka...

Panna Kazia jest uprzejma i cierpliwa: trochę po ludzku, a trochę po kupiecku.

Aleksandra Gadomska

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Rządzący siłą i gwałtem umieją osiągać rekordy bezwstydu i cynizmu. Zaprezentowali całemu światu ilustrację tego zjawiska przedstawiciele władzy hitlerowskiej, pozwani, jako świadkowie w procesie o podpalenie Reichstagu. Dnia 6.XI zeznawał p. Göring, dn. 7.XI — Heines.

Parę epizodów z tych zeznań wrazi się w pamięć na długo. Nic to, że Göring zachowywał się w sądzie wobec oskarżonych, jak najgorszy „dzierżymorda" w areszcie policyjnym, że pozwalał sobie na krzyki i że nawet chciał okładać kułakami Dymitrowa. Ale nadewszystko wybija się postawa sądu, który zachował się wobec zbira, posiadającego pełnię władzy, z całą atencją i szacunkiem: ani jednem słowem nie zwrócono uwagi na rzadko słyszane w sądzie zapowiedzi zemsty w stosunku do przeciwnika politycznego. P. Göring powiedział według redakcji urzędowej biura Wolffa:

— „Niech proces skończy się tak, lub inaczej, a ja winnych odnajdę i odpowiednio ich ukarzę". (W pierwszej redakcji niepoprawionej powiedziano: — „Odpowiednio z nimi rozprawię się"). Zdanie to było rzucone pod adresem Dymitrowa i Torglera.

Sąd nie odczuł, że Göring w tych słowach zdradził całą prawdę o wymiarze sprawiedliwości w Niemczech.

Uzupełnił to bezczelne oświadczenie następny wysoko postawiony świadek, prezydent policji wrocławskiej, Heines, — morderca kapturowy, w swoim czasie za zabójstwo skazany na więzienie. Ten także uważał, że niema co rzeczy owijać w bawełnę: zgładziłem tego, kogo uważałem za zdrajcę.

Jeden mordował, drugi — zapowiada, że nadal mordować będzie. Tacy świadkowie reprezentowali w sądzie obecną władzę w Niemczech.

Naogół nikt się temu nie zdziwił. Pewna konsternacja zapanowała tylko w Londynie: shocking — wyszeptali z obrzydzeniem najbardziej nawet skłonni do usprawiedliwiania hitleryzmu. Oburzenie w Anglji jest powszechne: spostponowanie sądu uznane zostało, jak pisze *Manchester Guardian* za „dziki i odpychający spektakl". Filo-niemiecki *Daily Express* z przerażeniem zauważył o zachowaniu się i słowach Göringa: — „Ta obrzydliwa scena przekreśla wszelką wiarę w Anglji w istnienie sprawiedliwości w Niemczech".

Powszechność tej opinji jest pocieszająca, ale czy nie za późno przyszła? Brutalne dzikusy z tego opóźnienia także ciągną korzyści.

Był w zeznaniach Göringa ustęp, na który mało zwrócono uwagę, choć on właśnie wskazywał, w jaki sposób takie zmory ludzkości siadają jej na karku i dręczą ją. P. Göring, chcąc wytłomaczyć, dlaczego nie mógł odrazu wywieszać wszystkich komunistów, opowiadał o tem, że zastał policję wychowaną przez socjalistów i centrowców; była więc ona dla niego nie do użytku, to go zresztą mało martwiło, bo wiedział, że „podwładny musi słuchać zwierzchnika". Lecz co gorsze — mówił — ta policja była wogóle do niczego.

A oto, w jaki sposób Göring przekonał się o tem: kazał sobie przynieść tajne akta z czasów Severinga i Grzesinsky'ego o sobie.

— Byłem przecież, zdaje się, dostatecznie niebezpiecznym wrogiem, aby się moją osobą zajmowano — mówi z dumą.

I co się okazało: dossier Göringa składało się z jednej kartki, na której zanotowano błahe wydarzenia. Policja rządu socjalistycznego nic nie wiedziała o Göringu, nie interesowała się nim. To była policja do niczego.

Takie jej świadectwo wystawił obecny mocarz. Tym razem miał zupełną rację.

W państwie praworządnem policja nie jest przystosowana do walki z gangsterami politycznemi, sądząc, że takie typy winny figurować w kartotece kryminalnej. A tu — masz ci los — kryminaliści prowadzą walkę o władzę i ujmują rządy w swe ręce.

„Plebiscyt" z ubiegłej niedzieli ma te ich rządy na dłuższy czas utrwalić. Takiemi drogami chadzają narody po wojnie do odrodzenia!

Towarzystwo Göringa i jego przyjaciół odpycha od siebie nietylko dostojną opinję angielską: faszyzm włoski też ma dosyć tego uciążliwego i niebezpiecznego sojusznika. Widowisko prawdziwie interesujące — to coraz bardziej jątrząca się polemika faszyzmu z hitlerowskim rasizmem.

Zabrał w niej głos zupełnie niedwuznacznie sam Il Duce. W przemówieniu uroczystem Mussolini'ego w Rzymie, wygłoszonem do kilkudziesięciu tysięcy „czarnych koszul" z okazji 12-stej rocznicy marszu na Rzym, znalazło się m. in. takie zdanie:

— Życzymy sobie pokoju, „pax romana", który przez setki lat władzy Rzymu panował na świecie, pokoju zgodnego z charakterem i temperamentem naszej rasy łacińskiej i śródziemno - morskiej, rasy, która dała światu Cezara, Dantego, Michała Anioła i Napoleona, starej, silnej, twórczej rasy..."

Niema wątpliwości, że wyrazy te były odpowiedzią na „rasowe pretensje" Berlina do panowania nad światem długogłowych Nordytów wbrew krótkogłowym Śródziemnomorcom.

Po mowie Mussolini'ego na szpaltach prasy italskiej zaroiło się od kpin i drwin z „rasy germańskiej".

Poseł Castellino na łamach *Giornale d'Italia* dowodził, że długogłowych Germanów charakteryzuje furor taksamo jak Buszmenów i Hotentotów — również długogłowców. Śródziemnomorska rasa krótkogłowców łacińskich, przeciwnie, odznacza się równowagą ducha — acquitas — pisał p. Castellino.

W parę dni później na łamach *Popolo d'Italia*, organu osobiście inspirowanego przez Mussolini'ego, pisano znowu o rasie „nordyckiej". Wskazano tam, że dla Skandynawów Niemcy są południowcami i że, skoro „nordyczność" stanowi o wartości rasy, to najbardziej cenną rasą są Laplandczycy, bo mieszkają na samej północy. Kpiono przy tem coniemiara z czystości rasy Teutonów.

Nic dziwnego, że wobec tych szyderstw, Göring przyleciał samolotem do Rzymu, aby przebłagać krótkogłowego dyktatora. Zdaje się, że bezskutecznie.

Mussolini zajęty przebudową ustroju wewnętrznego Italji, dumny, że pozwala dotychczas na swobodną dyskusję co do ustroju korporacyjnego, nie bardzo może wiązać swoje losy z „Nordytami" grzebiącymi kulturę własnego narodu.

Biega tedy bractwo hitlerowskie po Europie z zapalonem łuczywem, usiłując to tu, to ówdzie wzniecić zbawienny dla siebie pożar.

Świeżo takie ognisko zapalono na terytorjum wolnego miasta Gdańska, gwałcąc konstytucję i swobody obywatelskie, chronione przez Ligę Narodów. Niepowodzenia austrjackie tu przy ujściu Wisły, mają być odbite. Wzięto się do tego dosyć sprytnie, bo najprzód zaprowadzono formalną poprawność w stosunkach z Rzplitą. W ten sposób starano się usunąć z gry jedyny czynnik siły materjalnej, bo siła moralna, autorytet Ligi i mocarstw, to oczywiście fraszka i bagatela dla hitlerowskiego senatu wolnego miasta.

Gra jest poważna, chodzi w niej doprawdy o coś więcej, niż o przynależność tego lub innego „schupo" do partji hitlerowskiej. Chodzi o to, czy Europa jest dość silna, aby hitleryzm nawet na chwilę nie mógł nigdzie poza granicą Rzeszy odnieść choćby chwilowego sukcesu.

Jakże paradoksalne stwarza życie sytuacje!

Na brak paradoksów nie możemy teraz skarżyć się. Z ubiegłych dni oprócz „gdańskiego" incydentu rzuca się w oczy jeszcze jeden.

W szesnastą rocznicę rewolucji bolszewickiej rozbrzmiewa pod Kremlem „Jeszcze Polska nie zginęła", sztandar Rzplitej powiewa wśród honorów na sowieckim hotelu „Metropol", wśród gości i delegatów kominternu znajdują się polscy lotnicy wojskowi, a prezes Rady Komisarzów Ludowych, Mołotow, mówi pod adresem Japonji:

— Związek Sowiecki jest całkowicie przygotowany nietylko do obrony, lecz do zwycięstwa!

W 1904 roku, gdy „jasna Japonja" szykowała się do walki z caratem rosyjskim, w kraju Wschodzącego Słońca— szukano przymierza z pieśnią niepodległej Polski...

Dziś pieśń ta rozbrzmiewa swobodnie i przyjaźnie w stolicy nowej Rosji. Niespełna 30 lat minęło, a obraz uległ zupełnemu odwróceniu. Stąd wniosek: że ponure szaleństwa, panoszące się dziś w Europie przeminą prędzej, niż się tego spodziewamy. *St. Gr.*

KSIĄŻKI NADESŁANE

Boy-Żeleński: Wakacje z prydumką. Bibljoteka Boya. Warszawa, 1933.

Boy-Żeleński: Ludzie i bydlątka. Bibljoteka Boya. Warszawa, 1933.

Tadeusz Zieliński: Religja rzeczypospolitej rzymskiej. Część I. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie. Warszawa — Kraków, 1933.

Wacław Gąsiorowski: Nihiliści. Powieść historyczna. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1933.

H. Zakrzewska: Białe róże. Powieść dla młodzieży z czasów inwazji bolszewickiej. Dom Książki Polskiej. Warszawa, 1933.

Witold Dembicz: Pokój. Powieść. Wydawnictwo „Sarmacja". Warszawa, 1933.

Jan Berson Otmar: Nowa Rosja. Na przełomie dwóch piatiletek. Wydawnictwo „Sarmacja". Warszawa, 1933.

W EPOCE

zamieścili dotychczas swe prace m. in:

Boy-Żeleński, dr. Feliks Burdecki, Emil Breiter, Piotr Dunin-Borkowski, Jadwiga Baranowska, Helena Boguszewska, prof. Leon Chwistek, Stanisław Czosnowski, St. Czeczelnicki, Marja Dąbrowska, Jan Dąbrowski, Tadeusz Garczyński, red. Witold Giełżyński, red. Stefan Grostern, dr. Włodzimierz Jampolski, Jerzy Kornacki, Halina Krahelska, Jadwiga Krawczyńska, Irena Krzywicka, prof. Edward Lipiński, Henryk Lukrec, prof. Stanisław Małachowski-Łempicki, dr. Jan Muszkowski, Marja Milkiewiczowa, Wanda Melcer-Sztekkerowa, Zygmunt Michałowski, Kazimiera Muszałówna, Zofja Nałkowska, dr. Eugenja Pragierowa, Wacław Rogowicz, N. Samotyhowa, Jerzy Stempowski, Andrzej Strug, Janina Strzelecka, Elżbieta Szemplińska, dr. Mieczysław Szerer, Józef Szpecht, Leon Wasilewski, Józef Wasowski, Jan Waśniewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Józef Wittlin, — — — Roman Zrębowicz. — — —

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-698 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.